

Protokół przesłuchania świadka

Dnia 14 stycznia 1947 roku w Warszawie Sędzia Sądu Grodzkiego w Warszawie, delegowana do Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, Janina Skoczyńska, działając na zasadzie dekretu z dnia 10.XI.1945 roku o Głównej i Okręgowych Komisjach Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce (Dz.U.R.P.Nr.51,poz.293) przesłuchiwała niżej wymienionego w charakterze świadka.

Po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania i treści art.107 k.p.k., świadek zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko : Tadeusz Jan Stępniewski
data urodzenia : 22.VI.1905 roku
wyznanie : rzymsko katolickie
narodowość i przynależność państwowa : polska
stan cywilny : żonaty
miejsce zamieszkania : Warszawa, ul. Marszałkowska 81m.14
wykształcenie : wyższe.
zawód : lekarz.

W okresie powstania warszawskiego byłem kierownikiem punktu sanitarnego A.K. na kolonii lotniczej w Mokotowie. Rejon ten obejmował obszar od Królikarni po ul. Bukowińską i do dnia 24 września 1944 roku znajdował się w rękach polskich. W dniu 3 lub 4 sierpnia 1944 roku od strony kolejki został dokonany wypad niemiecki do jednego z domów przy ul. Bukowińskiej, zamieszkałego wyłącznie przez ludność cywilną stale tam znajdującą się lub zamieszkałą przygodnie. Ja znajdowałem się wówczas przy ul. Ikara, skąd słyszałem dobrze dochodzące w czasie tego wypadu niemieckiego strzały, krzyki i jęki. Na drugi dzień udałem się do tego domu przy ul. Bukowińskiej.

Tadeusz Stępniewski

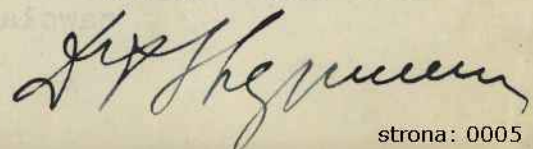
wiedząc o tym, że Niemców już tam niema. Na podwórzu tego domu zastałem 13 równo poukładanych trupów, 12 mężczyzn i 1 kobietę. Stwierdziłem, że ludzi ci zabici byli strzałami w głowę, dawanymi od przodu lub od tyłu. W suterynie domu znalazłem tramwajarza, nazwiska jego nie znam, Był on ranny w nogę. Tramwajarz ten opowiedział mi, co następuje: poprzedniego dnia popołudniu wpadła do domu przy ul. Bukowińskiej pewna ilość Niemców, podobno lotników, w niebieskich mundurach. Niemcy wchodziłi do mieszkań, wyciągając wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci. Kobiety i dzieci zabrali, mężczyzn zgromadzili na podwórzu, ustawiając ich po trzech i rozstrzeliwując. On sam również miał być rozstrzelany, ocalał w ten sposób, że otrzymał tylko postrzał w nogę, upadł na ziemię i został przykryty innymi zwłokami. Po odejściu Niemców z najwyższym wysiłkiem zdołał wydostać się z pod zakrywających go zwłok i schronić do suteryny. Zwłoki trzynastu osób pochowaliśmy na tym samym podwórzu, przy czym identyfikacją tych zwłok zajmował się p. Rudnicki, komendant bloku O.P.L, obecnie zamieszkały w Katowicach, rannego tramwajarza przenieśliśmy do szpitala Elżbietanek. Trzyście rozstrzelanych osób stanowiło wyłącznie ludność cywilną.

24 września 1944 roku Niemcy przypuścili atak na kolonię lotniczą od dołu i od strony Służewca. Po godzinnym ataku kolonia została zajęta. W czasie trwania ataku zniosłem wszystkich rannych, pozostających w szpitalu przy ul. Idzikowskiego, do piwnicy. Rannych było 10 osób, przy czym dwie z pośród nich nie mogły zupełnie chodzić



W pewnym momencie drzwi piwnicy otworzyły się, stanął w nich żołnierz niemiecki z granatem w ręku i krzyknął : "Raus". Wyszliśmy wszyscy z piwnicy. Ja razem z sanitariuszką niosłem nosze z ciężko rannym, jakiś robotnik niósł na rękach drugiego rannego, który nie mógł chodzić, pozostali ranni szli sami. W naszej grupie tylko ja jeden miałem na ramieniu opaskę Czerwonego Krzyża, pozostali żadnych odznak nie mieli. Zgodnie z otrzymanym poleceniem szliśmy w stronę kolejki Grójeckiej, polem, równoległe do Puławskiej. Przez cały czas posuwaliśmy się wśród tyraliery wojska. Przed nami i za nami sunął wąż ludności cywilnej, wpędzanej z Warszawy. Doszliśmy w ten sposób do kolonii Służewiec. Przed jednym z domów stała grupa oficerów z dywizji SS. Hermana Goeringa (mieli na lewym rękawie na czarnej obwódce srebrny napis SS. Herman Goering). Stojący w tej grupie major, dowódca batalionu, wskazując wyraźnie na mnie, kazał mi podejść. Gdy początkowo udawałem, że nie rozumiem, o co chodzi, major posłał żandarma, który mnie przyprowadził do niego. Ow major w języku niemieckim i francuskim zaczął mi się dopytywać o szereg ulic, gdzie one się znajdują i czy są na nich powstańcy. Major pokazywał mi przy tym mapę, na której był tylko projekt tych ulic. Wyjaśniłem mu, że takich ulic w rzeczywistości niema. Po chwili podszedł do nas oficer niemiecki, lekarz i zapytał się mnie : "Sind Sie ein Banditenarzt?", na co odpowiedziałem : "Nein, ich bin ein Arzt".

Gdy lekarz ów, wskazując na mnie, jeszcze raz powiedział : "Banditenarzt", major, pokazując mnie jednemu z żandarmów powiedział : "Erschiessen". Odstawiono mnie na bok. Następnie z grupy przechodzących ciągle koło



6

nas ludzi zaczęto wybierać poszczególnych mężczyzn. Odstawiono w ten sposób razem ze mną 10 osób. Przeprowadzono nas następnie na drugą stronę ulicy. Jeden z żandarmów podał nam kilka łopat i kazał kopać "Graben". Widocznie zmieniono jednak zamiar rozstrzelania nas w tym miejscu, gdyż odebrano nam łopaty i poprowadzono w stronę miasta, na ul. Bukowińską. Prowadziło nas trzech żandarmów, którzy po drodze zaopatrzyli się w granaty. Do tych trzech żandarmów dołączył się jeszcze jeden, mówiący po polsku. Gdy doprowadzono nas na podwórko jednego z małych domków przy ul. Bukowińskiej, żandarm, mówiący po polsku, oświadczył: "Teraz się napijemy, a później dostaniecie w czapę". Istotnie wszyscy eskortujący nas żandarmi udali się do domu, odpinając po drodze manierki, my zaś zostaliśmy na podwórzu sami, prawie niepilnowani. Po pewnej chwili na podwórko wpadła grupka około 100 robotników z łopatami. Jak się potem okazało, byli to robotnicy z Pruszkowa, przyprowadzeni z łopatami do sypania okopów. Kierownik grupy robotników, dowiedziawszy się ode mnie, że czekamy na rozstrzelanie, zamienił parę słów z żandarmem, który ich przyprowadził, po czym rzucił nam kilka łopat. Zmieszaliśmy się razem z robotnikami i wyszliśmy na ul. Puławską. Tam ukazały się zaraz czołgi, które zaczęły nas pędzić w stronę Warszawy i powstańców. Po drodze kazano nam zasypać rów na ul. Puławskiej na wysokości ul. Idzikowskiego, po czym pędzono dalej, do barykady przy ul. Woronicza. Żandarmi, którzy nas poprzednio pilnowali, wybiegli w pewnym momencie na ulicę, powstańcy z ul. Woronicza zaczęli do nich strzelać, żandarmi wówczas wycofali się. Gdy w czasie pędzenia nas zauważono, że zamierzamy uciec, zawołano z czołgu, że będą strzelać.

Janusz K...

W pewnym momencie, gdy byliśmy na szczycie barykady przy ul. Woronicza, a za nami stały trzy czołgi, od strony Alei Niepodległości, na polu, ukazał się jeszcze jeden czołg, który zaczął ostrzeliwać naszą grupę, idącą przed czołgiem. Jeden pocisk wybuchł w ogrodzie w Królikarni. Drugi pocisk ranił ciężko mnie. Robotnicy przenieśli mnie najpierw do Królikarni, a potem, ułożwszy na drzwiach do szpitala na Okęciu, gdzie przebywałem przez parę miesięcy na kuracji.

Na zapytania spotykanych po drodze Niemców, robotnicy, niosący mnie do szpitala, odpowiadali, że niosą trupa robotnika z Pruszkowa. Odpowiadali tak, wiedząc o tym, że rannych Niemcy dobijają. Odzyskując co pewien czas przytomność, usłyszałem raz tego rodzaju wyjaśnienie.

Protokół przeczytałem

J. S. Krawiec
Sędzia
J. Krawiec